

VI
ARGENTYNA

GOMBROWICZ: — Po *Ferdydurke* przerwa w moim pisaniu, lat dziesięć. Dopiero w 1947-ym pojawił się *Ślub*.

ROUX: — Te dziesięć lat, to dwa lata przedwojnia w Polsce, a potem wojna i Argentyna.

G.: — Tak. Na miesiąc przed wojną wyruszyłem do Argentyny, gdzie było mi sądzone przeżyć dwadzieścia trzy lata.

Jak mi się wydarzyła ta Argentyna? Czysty przypadek (przypadek?). Spotykam się w kawiarni Zodiak w Warszawie z pisarzem w moim wieku, Czesławem Straszewiczem. Mówi: — Jadę do Ameryki Południowej. — Jak to? — Za miesiąc wypływa do Buenos Aires nowy transatlantyk polski, „Chrobry”, to jego pierwsza podróż. Zaproszono mnie, jako literata, żebym coś o tym napisał do gazet. — Co pan mówi, to może i mnie by zaprosili? — Niech pan spróbuje, proponuję im, może się uda. We dwóch będzie przyjemniej.

80 Udało się. Zdarza mi się czasem czytać w prasie, że „uciekle” przed wojną do Argentyny. Nic podob-

nego. Tak beztrząsco przygotowywałem się do tej podróży, iż tylko przypadkowi (przypadkowi?) zawdzięczam, że nie zostałem w Polsce.

Ostatniego dnia przed wyjazdem zachodzę do kawiarni, już gotów do drogi, ze wszystkimi dokumentami w porządku. Ale ktoś mi mówi: — A ma pan zezwolenie władz wojskowych? — Mam paszport zagraniczny, złożyłem wszystkie zaświadczenia z wojska, bez tego nie wydają paszportu. — To nie wystarczy! Trzeba mieć jeszcze specjalne, dodatkowe, zezwolenie władz wojskowych; to czysta formalność, ale bez tego nie wpuszczą pana na statek.

Patrzę na zegarek. Siódma za dwadzieścia. Urząd wojskowy zamykają o siódmej. Łapię taksówkę, pędzę, wbiegam po schodach na czwarte piętro. Za późno! Drzwi zamknięte. Trzy minuty po siódmej. Dobijam się. Woźny.

— Biuro już nieczynne. Proszę nie robić hałasu.

Drzwi się zamykają. Żegnaj, Ameryko! Zaczynam schodzić melancholijnie, gdy wtem tupot. To drużyna footballowa, która miała jechać na mecz międzynarodowy do Danii. Też się spóźnili. Znów walenie do drzwi. Tym razem woźny nas wpuścił i tytułem specjalnej łaski poprzybijano nam odpowiednią pieczęć.

Jak pan widzi, moje dwadzieścia trzy lata Argentyny to była kwestia paru minut.

R.: — I pan myśli, że to nie był przypadek?

G.: — Cała ta historia z wyjazdem to było, wie pan, jakby jakaś ręka olbrzymia wzięła mnie za kołnierz, wyjęła z Polski i przeniosła do tego lądu, zgubionego w oceanie, a jednak europejskiego... akurat na miesiąc przed wybuchem wojny.

R.: — A dlaczego Ręka nie osadziła pana w zachodniej Europie?

G.: — Gdyż to skończyłoby się wcześniej, czy później, na Paryżu. Gdybym nie opuścił Europy, 81

prawie na pewno zamieszkałbym po wojnie w Paryżu. A tego Ręka najwidoczniej sobie nie życzyła.

R.: — Dlaczego?

G.: — Albowiem Paryż zamieniłby mnie *à la longue* w paryżanina. A ja miałem być anty-paryżaninem. Nie byłem jeszcze wówczas dość odporny. Moim przeznaczeniem było pozostać jeszcze długie lata na peryferiach Europy, z dala od jej stolic i z dala od mechanizmów literackich, pisać „do szuflady”, jak się dziś mówi w Polsce. Niech pan spojrzy na mapę. Z trudnością można by wybrać lepsze miejsce, niż Buenos Aires. Argentyna to kraj europejski, tu się czuje silnie Europę, silniej niż w samej Europie, a jednocześnie jest się poza nią — i w tej ojczyźnie krów nie ceni się literatury. To też mi było potrzebne. Dystans do Europy i dystans do literatury.

Magia. Kształt, jakby zaprojektowany, życia. Im bardziej jest się poza formą, tym bardziej jest się w jej mocy. Zagadkowe przeciwieństwa, niedocieczone kontrasty.

R.: — Jak się ułożyło życie pana w Argentynie?

G.: — Dobiliśmy do Buenos Aires 22 (dwójka to moja cyfra) sierpnia 1939 (suma cyfr 22), po trzytygodniowej, lekkomyślnej, podróży. Sytuacja międzynarodowa miała tendencję do odprężenia. Następnego dnia po naszym wylądowaniu świat został spiorunowany telegramami z Moskwy i Berlina, obwieszczającymi niemiecko-rosyjski pakt o nieagresji. Wojna! Jakoż po upływie tygodnia pierwsze bomby niemieckie spadły na Warszawę.

Wciąż mieszkalem na statku wraz z moim towarzyszem, Straszewiczem. Na wiadomość o wybuchu wojny, kapitan postanowił wracać do Anglii (do Polski już nie można było się przedostać). Zrobiliśmy naradę wojenną ze Straszewiczem. On zdecydował się płynąć do Anglii. Ja zostałem w Argentynie.

R.: — W powieści *Trans-Atlantyk*, jeszcze nie wydanej po francusku, opisuje pan te momenty. I przedstawia pan siebie, jako dezertera.

G.: — Nie była to żadna dezercja, gdyż Polska tak czy owak była już niedostępna. Zameldowałem się w poselstwie polskim w Buenos Aires zaraz po opuszczeniu statku, a potem, gdy w Anglii poczęto formować wojsko polskie, stanąłem w stroju adamowym przed komisją poborową poselstwa... dość, że pod względem formalnym byłem najzupełniej w porządku. Przedstawiłem siebie w *Trans-Atlantyku* jako dezertera, ponieważ w sensie duchowym byłem dezserterem. Co tu gadać, byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem.

Opisałem te początki argentyńskiej egzystencji po trosze w *Dzienniku* (tom I, rozdz. VII). Dwieście dolarów, cała moja fortuna, wystarczyły mi prawie na sześć miesięcy. Argentyna była wtedy krajem wyjątkowo tanim. Mieszkalem po studencku w podrzędnych hotelikach, pomagali mi niektórzy Polacy, zacząłem trochę pisywać do gazet — anonimowo, felietony przeważnie — przez jakiś okres miałem bardzo skąpy zasiłek z naszego poselstwa. To wszystko nie wystarczało, nigdy nie wiedziałem z czego będę żyć za miesiąc, a nieraz musiałem pożyczać kilka pezów na obiad. Tak trwało aż do roku 1947, odrobinę gorzej, odrobinę lepiej, zależnie od okoliczności. Następny okres to była siedmioletnia praca w Banco Polaco. To było znacznie nudniejsze. Ale smak gorzki, tragiczny, poetyczny, pierwszego siedmioletnia niełatwo we mnie się zatrze.

R.: — Jak odczuł pan wojnę?

G.: — O tym za chwilę. Jeszcze kilka słów o tych moich argentyńskich inicjacjach. To się nie da opowiedzieć... a jednak nie można tego pominąć... Mieszkalem, jak się rzekło, w najtańszych hotelikach, czasem

w tak zwanych *conventillos*, wielkomiejskich ruderach, zapchanych biedotą. Z jakąś pasją rzuciłem się w niższość, ja, pan Gombrowicz! Odmłodziłem nagle i gwałtownie pod względem psychicznym i fizycznym, na ulicy mówiono mi *joven*, jakbym nie miał dwudziestu pięciu lat. Nigdy nie byłem bardziej poetą, niż wtedy, na przepelnionych, gorących, ulicach, doszczętnie zgubiony (zgubiony w tłumie, ale i w tym co dotyczyło losu mojego). Rój, mrowisko, korowód, światła, szum olbrzymi, wyziewy, a moja bieda była rozkoszą, upadek mój był wzlotem. Wsiąkłem w to wielojęzyczne koczowisko bez wahania, gładko, byłem jednym z nich. A moi przygodni towarzysze, z którymi przyjaźń powierzchowna i nieobowiązująca przychodziła mi w sposób zdumiewająco naturalny (tę naturalność odkryłem w sobie, ja, sztuczny, jak skarb najcenniejszy, łaskę, wypoczynek, wyzwolenie) pomagali mi, jak mogli. Kiedyś spacerując z jednym z nich po ulicy Corrientes i gapiąc się na wystawy (co za zaszczyt dla pana Gombrowicza!) powiedziałem, że jeść mi się chce (co za zaszczyt!). — Nic, powiedział, nie przejmuj się, mam trupa, starczy dla dwóch. Wsiadliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na przedmieście, do jakiegoś domku w dzielnicy robotniczej, gdzie rzeczywiście nieboszczyk, nie wiem już jakiej nacji, leżał w trumnie, obłożony kwiatami, a rodzina, krewni i znajomi żegnali go w żałobnym milczeniu. Pomodliwszy się przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie był poczęstunek dla żałobników, bufet, kanapki, wino, jedliśmy i opowiadał, że nieraz wyszukuje sobie trupów w tym *barrio*, że najlepiej dowiedzieć się od kościelnego.

To młode, nieskończenie eleganckie, jedzenie trupa urosło mi do jakiegoś bardzo głębokiego symbolu owych czasów... to zajadanie trupa z młodym, świetnym, apetytem... do którego ja przecież, w moim wieku, już nie miałem prawa... I cała ta moja „natural-

ność” to była w końcu tylko sztuczność i gra... ale gra najdonioślejsza, najwspanialsza, jaką mogłem wieść ze sobą samym. Dzięki temu paradoksalnemu rozmiłowaniu w upadku przetrwałem wojnę i nędzę zwycięsko. I dziś nie doświadczam wyrzutów sumienia, iż wówczas klęska, nieszczęście moje, czy bliskich, czy połowy świata, stało mi się pomostem do czegoś w rodzaju gorzkiej, przekłetej, rozkoszy, nie, ja jakoś miałem do tego prawo... Ale burżuazyjna ostrożność mnie nie opuszczała i nigdy nie dałem się wciągnąć w przedsięwzięcia bardziej ryzykowne. Kilka razy *cana* (policja) mnie przyskrzypiła, ale nie na długo i bardziej wskutek sprawek moich przyjaciół, niż za własne przewiny.

A oto inny obrazek, który też pozostał mi, niczym symbol... W marcu czterdziestego drugiego roku właściciel mego hoteliku zbyt już energicznie zaczął domagać się zapłaty sześciomiesięcznej zaległości i trzeba było wiać. Opuściłem hotel w nocy, a mój sąsiad, wielkoduszny don Antonio, podawał mi przez okno walizki. Umieściwszy je w kawiarence, zasiadłem przy stoliku i nie wiedziałem co robić, gdyż wszystkie kredyty były wyczerpane. Wtem słyszę „co pan tu robi?” Był to Polak, od dawna już przebywający w Argentynie, dziennikarz nazwiskiem Taworski.

Powiedziałem mu, co i jak. — Wie pan co, powiedział, ja mam teraz współników-kapitalistów, wynajęliśmy willę pod Buenos Aires, w Morón, żeby uruchomić warsztat włókienniczy, może pan tam mieszkać. Willa rzeczywiście była ładna, pięć pokoi w ogrodzie, co prawda zupełnie pustych, Taworski spał na jednym łóżku, a ja na stosie gazet. Na wstępie uprzedził mnie tajemniczo: jakby ktoś do mieszkania wlaził, choćby przez okno, choćby nocą, niech pan broń Boże się nie rusza i znaku życia nie daje.

Kilka nocy przespałem spokojnie na moich gazetach; w końcu, około trzeciej nad ranem budzą mnie

szelesty i widzę dwóch drabów, wykręcających lampki i korki od elektryczności. Ani drgnąłem. Znikli. Jak się okazało, byli to wspólnicy Taworskiego, którzy nie mogąc się na nim zemścić, ani wyrzucić go z willi, nachodzili go w nocy by wyrządzić mu wszystkie możliwe świństwa. A znów Taworski będąc już skazany na więzienie z zawieszeniem za jakąś tam sprawkę, nie śmiał pisać — o czym oni dobrze wiedzieli. I te najścia ponocne, okrutne i pijane (bo przeważnie byli pod gazem), i ta bezbronność nasza, też mi urastają do wyżyn patetycznego znaku o niewysłowionym znaczeniu.

Spędziłem w tej willi, obdzieranej stopniowo ze wszystkiego, ze sześć miesięcy. Taworski, człek zacny, opiekował się mną jak ojciec, jadalśmy wyłącznie prawie wędzonkę i kukurydzę, które pitraśił na cały tydzień. Cieszyłem się w Morón wielką popularnością, zarówno w „piceryji”, jak w kawiarni, gdzie był bilard i szachy. Litra mleka wypijałem codziennie z chlebem, w słońcu, siedząc na murawie i przyglądając się ulicy. W piceryji zaprzyjaźniony ze mną „moso” dawał mi sandwicza za 20 centów, ale szynkę kroił poczwórnej grubości, był to prawie befszytk.

Naraz w literackim dodatku do dziennika „La Nación”, cieszącego się wielkim poważaniem, ukazuje się na pierwszej stronie mój artykuł. Od tej chwili moja sytuacja towarzyska w Morón uległa likwidacji, zaczęto odnosić się do mnie z szacunkiem.

R.: — To życie nie musiało być jednak takie łatwe.

G.: — Mnie podtrzymywała katastrofa. Katastrofa moja, Polski, Europy.

R.: — Ale jednocześnie pan działał na innym, wyższym, poziomie.

G.: — Tak.

R.: — Jakie były stosunki pana z argentyńskim światem literackim?

G.: — Bardzo luźne. Z początku zrobiłem pewien wysiłek żeby nawiązać z nimi kontakt, szczerze mówiąc raczej ze względów praktycznych, ale wkrótce dałem temu pokój. Byłem dla nich zjawiskiem za trudnym. Naprzód dlatego, że moje rzeczy nie tłumaczone na żadne języki były im zupełnie niedostępne. I dlatego, że byłem nie znany w Paryżu. I dlatego, że w pierwszych latach kiepsko mówiłem po hiszpańsku. I dlatego wreszcie, że pod względem osobistym byłem dla nich za mało konwencjonalny, gdybym umiał się zdobyć na rozmowy o „nowych wartościach literackich” w Polsce, lub we Francji, albo o wpływie Mallarmégo na Valérego, może by mi się lepiej z nimi wiodło.

R.: — A Wiktoria Ocampo?

G.: — Nie chciałbym powtarzać tego, co już napisałem w moim dzienniku (tom I). Jeśli uzyskałem nieco sławy w Argentynie, to nie jako autor, ale jako jedyny zagraniczny literat, który nie odbył pielgrzymki do pani Ocampo. Ale byłem pewny, że zarówno moje poglądy, jak mój sposób bycia i moje utwory, byłyby dla niej zbyt zaskakujące. Co się tyczy utworów, to ukazanie się *Ferdydurke* w Argentynie potwierdziło te moje przypuszczenia, gdyż miesięcznik „Sur”, przez nią wydawany, był chyba jedynym pismem literackim, które nie zauważyło tej książki.

R.: — A Borges?

G.: — Borges i ja, to przeciwieństwa. On jest osadzony w literaturze, a ja w życiu, jestem właściwie antyliteracki. Być może, iż wskutek tego właśnie moje zbliżenie z Borgesem mogłoby okazać się płodne, ale trudności techniczne stanęły na przeszkodzie. Spotkałem się z nim raz, czy dwa, i na tym się skończyło. Borges miał już wtedy swoją kapliczkę nader czolobitną, on mówił, oni słuchali. To co mówił wówczas nie wydało mi się najlepszej jakości, to było za ciasne, za literackie, jakieś paradoksy, *bons mots*, smaczki, gatu-

nek, słowem, którego wybitnie nie lubię. Jego inteligencja wcale mnie nie olśniła, dopiero dużo później, gdym zapoznał się z jego utworami ściśle artystycznymi (opowiadania) musiałem mu przyznać wybitną przenikliwość umysłu i ducha. Ale Borges „mówiony”, ten Borges z rozmów, wywiadów, odczytów, a także ten z esejów i krytyk, był dla mnie zawsze ciasny, niegłęboki, z kiepską epatujący. Nieraz cytowano mi w Argentynie jakieś „znakomite” wypowiedzi Borgesa i za każdym razem byłem rozczarowany, była to literatura, i tylko literatura, i nawet nie z tych najlepszych.

R.: — Jak pan sobie tłumaczy tę, tak jaskrawą, różnicę pomiędzy jego sztuką, a tymi innymi jego wypowiedziami?

G.: — Mam co do tego swoją teorię. Moim zdaniem, nie dość bierze się pod uwagę ślepotę Borgesa. Ona to umożliwiła mu owo wielkie skupienie wewnętrzne, z którego urodziły się dzieła artystyczne wysokiej jakości. Ale ona również skazała go na egzystencję w pewnym, nader ograniczonym, kółku ludzi-literatów, z których żaden nie miał dostatecznego formatu żeby mu się przeciwstawić, gdzie karmiono go mdłą admiracją i stowarzyszano się z nim w coraz bardziej misternych arabeskach myślowych, w tej jego pseudo-erudycji (każda erudycja jest i musi być pseudo; Borges-erudyta jest straszliwym ignorantem, ale jest też niezbyt inteligentny, ponieważ erudycja z istoty swojej jest nieinteligentna). W rezultacie Borges stawał się w ślepotcie coraz głębszy, a na zewnątrz, z ludźmi, coraz płytszy. Był to rozwój jak najbardziej godny szacunku zważywszy, iż człowiek dotknięty ślepotą nie może żyć życiem normalnym. Ale uważam za błąd ze strony jego wielbicieli, że nie rozróżniają między tymi dwoma Borgesami i z równym namaszczeniem traktują jego inteligencję i jego nieinteligencję. Nieinteligencję,

przejawiającą się równie dobrze w wydziubywaniu maniackim trzeciorzędnych okrucich literackich, co w takiej na przykład rewelacji: „Co pan sądzi o poe-dynku? Ja jestem całkowicie mu przeciwny, jeśli zachodzi jakieś nieporozumienie między dwoma osobami, to ono, moim zdaniem, nie ma nic wspólnego ze szpadami, lub ze śmiercią jednej z nich” (*Entretiens avec Borges*).

R.: — Można by tu wysunąć jeden zarzut. Gdyby pewne ograniczenia, naiwności, czy dziwactwa umysłowe Borgesa miały być wynikiem ślepoty, to w dobie kiedy jeszcze wzrok jego nie był zbyt osłabiony, byłby od nich wolny; a tymczasem Borges w pierwszym okresie swojej twórczości był mniej oryginalny i bardziej chyba uwikłany w estetyzmach. Zarówno w tym, co pisał, jak w tym, co mówił.

G.: — Ma pan rację. Może więc należałoby powiedzieć, że ślepotą nie pozwoliła mu przewyciężyć na terenie dyskursywnym i w życiu tego, co przewyciężył dzięki niej na terenie sztuki. Nie wiem...

R.: — A jednak o jego sztuce wyraził się pan dość surowo. W jednym z rozdziałów pańskiego dziennika, drukowanych w „Les Lettres Nouvelles”, nazwał ją pan „cienką zupką dla literatów”.

G.: — Wyraziłem się niezręcznie. Mam wielki szacunek dla niego, jako dla artysty. Ale drażni mnie jego zdolność przyciągania erudyty, estety, cyzelatorów, pięknoduchów, smakoszy, bibliofilów, profesorów, glosatorów, i innych sybarytów i specjalistów. W nich celowałem moją „cienką zupką”, a nie w niego.

Miałem sposobność poznać kilku admiratorów z jego najbliższego otoczenia, nie zadziwili mnie nadmiarem inteligencji, ani energii duchowej. I nic dziwnego, że niewiele zrozumieli z *Ferdynandem*, która wówczas ukazała się po hiszpańsku. Ale, gdyby nawet ci

akolici Borgesa potrafili coś niecoś przekazać z niej Borgesowi (który sam nie jest w stanie czytać książek) niewiele by to pomogło. Ten człowiek w samotności swojej szczery i głęboko ludzki, boi się ludzi w codziennym obcowaniu, drży o siebie, jego nieśmiałość, jego wydelikacenie arystokratyczne zmuszają go do nieszczerości, do polityki. Jego rzekoma skromność jest pancerzem jego arystokratycznej wyniosłości. Skromny sir Jerzy Borges, *Knight of the British Empire, Commandeur des Lettres et des Arts, Caballero de la Orden del Sol*, kawaler orderu *La Madonnina* etc. z trudnością chyba znalazłby wspólny język z niejakim zarozumiałym Gombrowiczem *tout court*.

R.: — A jak ułożyło się panu współzycie z innymi literatami argentyńskimi?

G.: — Nijak. Właściwie o jakim takim współzyciu mogła być mowa dopiero po ukazaniu się *Ferdydurke*, gdy już miałem za sobą siedem lat Argentyny. Ale wtedy już przyzwyczailem się do mego anonimatu i raczej bimbałem sobie na środowiska literackie, byłem niezależny, swobodny, kapryśny i prowokacyjny. Przyzwyczailem się, że nikt mnie nie brał na serio i nikogo nie brałem na serio. Zresztą utwór, jak *Ferdydurke*, musiałby być naprzód zatwierdzony przez Paryż, bez tego oni nie mogli mnie uznać. Wypuściliśmy ten potężny pamflet, ja i grupa młodych literatów, którzy współpracowali w przekładzie, w nastroju raczej figlarnym. *Ferdydurke* znalazła sobie pewną ilość entuzjastów, głównie wśród młodych, miała też sporo recenzji w prasie, ale wszystko w końcu rozeszło się po kościach. W tym czasie rozpocząłem pracę w Banco Polaco, więc ostatni motyw, jaki mógł mnie łączyć z literaturą argentyńską, mianowicie perspektywa załapania tu i ówdzie jakiejs pożyczki, odpadł.

R.: — Czy oni pomagali panu czasem w pańskich tarapatach finansowych?

G.: — Opowiadano mi, iż nie tak dawno attaché ambasady argentyńskiej w Paryżu miał się wyrazić do attaché ambasady polskiej: „Gombrowicz jadł nasz chleb przez ćwierć wieku, a teraz wygaduje na Argentyne”. Nieprawda. Nie wygaduję na Argentyne, tylko co najwyżej — troszkę — na burżuazję argentyńską, to nie jest to samo. A po wtóre, chleb mój argentyński pochodził z zagranicy, naprzód trochę Polacy mi pomagali, potem Banco Polaco mi płaciło, a wreszcie żyłem z moich zagranicznych wydań. O ile pamiętam, raz jeden pewien argentyński literat-milioner obiecał mi zostawić w kopercie trzysta pezów na wyjazd do Cordoby, w góry, żebym się podreperował, bo byłem po grypie. Zostawił kopertę, ale znalazłem w niej tylko 150 pezów.

R.: — A gdy w końcu został pan odkryty w Europie? Czy nastroje się zmieniły? Czy można mówić o czymś w rodzaju lekkiej konsternacji?

G.: — Nic podobnego. Przede wszystkim nie dowierzano tym pogłoskom. Na rok przed opuszczeniem Argentyny — a więc w pięć lat mniej więcej po wydaniu *Ferdydurke* w Paryżu, kiedy tłumaczono mnie już na większość języków europejskich — spotkałem przypadkiem na ulicy poetę Jorge Calvetti, który współpracował z najpoważniejszym dziennikiem „La Prensa”. Opowiedziałem mu o moich sukcesach i Calvetti wykropił wywiad ze mną na ten temat, na dwie szpalty. Otóż inny współpracownik tego dziennika, literat Manuel Peyrou, przyjaciel Borgesa, spotkawszy się z Calvettem w redakcji, zarzucił mu w tonie gwałtownym, iż dał się nabrać moim kłamstwom. Zrobiła się awantura i Calvetti poszedł na skargę do naczelnego redaktora. Na szczęście przebywał wówczas w Buenos Aires Władimir Weidłé, znany krytyk z Paryża, którego książki miały w Argentynie spory oddźwięk. Naczelnik redaktor zaproponował Calvet-

tiemu by sprawdził u niego swoje informacje i Weidle zawyrokował, iż rzeczywiście jestem znanym i poważnym pisarzem w Europie, co zostało ogłoszone w „La Prensa”. Podobno starcie pomiędzy Calvettem a Peyrou było tak gwałtowne, iż jednego z nich wsadzono do windy unieruchamiając ją między piętrami, w obawie by nie doszło do rękoczynów. *Si non e vero...*

Cóż ich mogło właściwie obchodzić, że cudzoziemiec wśród nich dłuższy czas zamieszkały, zawsze niewidoczny, którego nigdy nie spotykali na swoich herbatkach, galach, recepcjach, się wybił? Ze mnie, istoty zawsze prywatnej, żaden naród nie może mieć pociechy, jestem *outsider*. Nie byłem członkiem ich drużyny literackiej w międzynarodowym meczu.

Chcę jeszcze dodać: owszem, znalazłem jednak życzliwych, uczynnych, przyjaciół. Virgilio Piniera, Kubańczyk dziś wybitny, i Humberto Rodriguez Tomeu, drugi Kubańczyk, wiele dla mnie zrobili, im przede wszystkim zawdzięczam przekład *Ferdynarda* na hiszpański. Cecylia Debenedetti, Alejandro Russovich, Jorge Calveti, Adolfo de Obieta, Roger Pla, oto niektóre z nazwisk, zapisanych przeze mnie, jak mówi król w *Hamlecie* „do księgi, którą co dzień odczytuję”.

Moja przyjaźń z Ernesto Sabato zaczęła się o wiele później, wtedy kiedy zafascynowała mnie jego wielka książka *Sobre Heroes y tumbas* (w Europie ukazała się ona pod tytułem *Alexandre*). Dzieło naprawdę niezwykle, w którym romantyzm, tradycja, historia, pewien telluryczny anachronizm i mroczna patologia południowoamerykańska łączą się w przedziwny sposób z awangardowym modernizmem, który wyraża dzisiejszą Argentynę. Bez wątpienia Sabato jest jednym z trzech „wielkich” Ameryki Łacińskiej obok Asturiasa i Borgesa.

R.: — Teraz lepiej widzę pana w Argentynie.

G.: — To są anegdoty... żeby dać atmosferę...

R.: — I bez przerwy pan pisał?

G.: — Och, nie. Przez całą wojnę nie napisałem ani słowa, oprócz felietoników do gazet, dla zarobku, pod pseudonimem, oraz kilku artykułów w „La Nación”. Niepodobieństwem było pisać nie wiedząc z czego będę żył za miesiąc. Dorywczo, w krótkich okresach względnej stabilizacji, szkicowałem dramat *Ślub*, ale dopiero po wojnie go wykończyłem.

Wojna to były wakacje...

R.: — Wakacje, niech pan się przyzna, nie pozbawione momentów okropnego załamania w tej samotności i poniżeniu, za wodą olbrzymią.

G.: — Tak, gdy czasami humor wisielczy mnie opuszczał... Tak, to było jednak męczące, straszne, rozpaczliwe. Wojna zdruzgotała mi rodzinę, pozycję społeczną, ojczyznę, przyszłość, niczego nie miałem, niczym nie byłem... A jednak. A jednak Argentyna... Jaki wypoczynek! Jakie wyzwolenie! C pierwszych moich, najcięższych, latach w Argentynie, mógłbym powiedzieć za Mickiewiczem:

*Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną miałem taką wiosnę w życiu...*

Tylko, że on odnosił te słowa do roku 1812, gdy Napoleon w pochodzie na Rosję wyzwolił, na jak krótko, Polskę. A ja mam na myśli czas, gdy wraz z upadkiem Polski i wybuchem wojny światowej pękło mi wszystko, wszystek ład jakim żyłem dotychczas.

Forma się rozluźniła!

Wyjątkowa sposobność! Błogosławiona okazja, jedyna! Widzi pan, ci co brali udział w wojnie natychmiast znaleźli się w nowych, tak to nazwę, formacjach — bardziej sztywnych jeszcze — w wojsku, w służbie, w akcji. A mnie wojna zanurzyła w odmet,

który był szumem, oszołomieniem, tymczasowością i prawie nicością. Sam. Dowolny. Zgubiony.

Wiedziałem dobrze, to była sposobność, którą mnie los obdarował, abym mógł na koniec zbliżyć się do największych moich świętości, do tego co określam czasem jako „niższość”, albo jako „dół”, albo jako „świeżość, prostotę”, albo „niedojrzałość”, lub „ciemny, nie nazwany żywioł” — te nazwy nie wyrażają ani w przybliżeniu natury owego sekretu, tej mety niejasnej, której moje książki nie potrafiły dobrze odkryć i wyrazić. W każdym razie byłem o krok od głównego ołtarza tego mojego nieosiągalnego kościoła — i skończyłem w odnęt, jak ktoś komu pić się chce! Nie, Bogiem a prawdą, nie były to wakacje, ani wypoczynek. Jeśli bieda, upokorzenie, wojna, klęska, samotność, niepewność, buty dziurawe, zimno, pluskwy, tysiące przykrości i nędznych kłopotów, jeśli to wszystko stało się wprost niczym, to ponieważ nigdy nie czułem się bliższy piękności, pewnej szczególnej piękności — i wtedy oddawałem się szalonej nadziei, że tę piękność będę mógł sobie przyswoić, że ona stanie się moją...

Tak, miewałem tygodnie całe, ja, trzeźwy, takiego pijaństwa poezją, że zdawało mi się iż już sam nią jestem!

Fatamorgana... Nie, jakie tam wakacje! Uciążliwa i dręcząca praca... bo, żeby zbliżyć się do prostoty i naturalności musiałem nakładać maski i to była chytrość, przebiegłość, zgrzyty, fałsze, przecież mówię, że nie zdołałem niczego osiągnąć, a tylko zdobyłem pewne przybliżenie... przybliżenie, które bardziej wyjaskrawiało mą sztuczność! Biedny pajac! Bliski czterdziestki, wiodłem życie dwudziestolatka i poniekąd byłem dwudziestolatkiem — w obliczu katastrofy światowej — to jedno wystarczy, by uzmysłwić karłomność mego przedsięwzięcia.

Nawet najlepsi z nas bez przerwy są okłamywani. Kłamstwo nieprzerwane nas draży. Krytyk, przyjaciel, obcy, wydawca, znawca, wielbiciel... kłamią, kłamią, kłamią... *Odkłamać* choćby odrobinę, taki jest dziś najwyższy postulat sztuki.